

*Umrzyj stary, umrzyj,
pochowom jo ciebie,
a na twoim grobie
potańcujem sobie.*

Najprawdopodobniej nic by się nie wydarzyło, do niczego by nie doszło, gdyby nie to, że Ance okropnie zachciało się sikać. Wczorajszy wieczór skończył się dość gwałtownie. Wczesna pobudka, podróż, szok tlenowy, wreszcie naprędce pita śliwowica, rozmowa, która stoczyła się głębiej, niż obie kuzynki mogły się spodziewać po tak długiej rozłące, wreszcie efekty trawy – wszystko to zsumowało się nieubłagane. Anka wiedziała, że przypomina zombie, chociaż próbuje za wszelką cenę wyglądać na skupioną, uśmiecha się głupkowato, potakuje niezbornie i zmusza powieki do utrzymania choć symbolicznego rozwarcia. Zapamiętała pobłażliwy uśmiech starszej kuzynki. Ona zawsze tak ukradkiem się z niej śmiała, gdy jako małolatki eksperymentowały z piwem i papierosami.

Obudziło ją słońce. Zmarszczyła nos, czując tętnienie w skroniach. Na nocnej szafce stała szklanka żętycy. Wypiła duszkiem. Była dziewiąta rano. Przespała całą noc w ubraniu, z planowanego ataku na Czerwone Wierchy już raczej nici. Może i dobrze, bo jej akademicka kondycja, trenowana sztafetą w noszeniu teczki za profesorem i regularnymi sprintami w wyścigu szczurów, mogłaby tego nie wytrzymać.

Żętyca zadziałała i już po chwili Anka wciągnęła dres i poczłapała do kuchni. Rozumiejąca pani Władzia, kucharka, co przy mężu góralu nie takie poranki już widziała, bez słowa przygotowała jej jajecznicę na boczku i pomidorach. Anka poczuła się na tyle stabilnie, żeby zacząć myśleć o tym dniu jako o nie do końca straconym. Czerwone Wierchy odpadają, ale jakiś niewymagający spacer wydawał się na miejscu. Było południe, gdy ruszyła w stronę przystanku. Szła nieśpiesznie, rozglądając się po wsi. Za nowymi przybudówkami, za płotami całymi w banerach, za nowym tynkiem koloru zleżałych pistacji kryło się jej Murzasichle. Jej Murzasichle, to nostalgiczne, zapamiętane, w którym topografia zmieniała się w genealogię. Kiedyś, dawno temu, wiedziała na pamięć, bo tyle razy objaśniali jej to Babońka i ciotka Kalenicowa, że rejon pierwszej kapliczki nazywa się „u Misiagi”, wcześniej mieszkali Mulorze z Karczmy, choć karczmy przecież już dawno nie ma, że przed karczmą były Bukowiany, potem jeszcze Hajduki, Zbójniki, Michaloki, a potem w okolicach remizy Teklorze i Tadzi, powyżej kościoła Polcorze, że za kościołem szło się pod górkę „pod Kulawego”, że droga na Budzowy Wierch odchodzi zaraz przed Kiciorzem. Jej Murzasichle, gdzie miejsca zmieniały się w opowieści wytracone z czasu, o których nie wiadomo było, czy to jeszcze historia, czy już mit. A więc o tym, że na Capówce swoje kozy pasał legendarny Łukasz, założyciel wsi. Że Felek wrócił z Ameryki bez nogi, bo ją stracił w kopalni, i wprawdzie dostał protezę, ale ją wyrzucił i zamiast niej wystrugał sobie scugię, bo z protezą niewygodnie mu się chodziło. Że Jędrus z Mulorzy najpiękniej po góralsku śpiewał. Że stara Felonkula była najlepszą akuszerką. Że za sklepem Maliniaczki milicjant zastrzelił kiedyś jednego chłopaka, Wojtusia, co stanął w obronie dziewczyny. Że ten się pobudował, tamtemu się syn powiesił, a tego córka wyjechała do Ameryki. Jej Murzasichle, gdzie przydomki i przezwiska zamieniały się w nazwiska – bo co komu po nazwiskach, gdy wszyscy są z Łukaszczyków? Wszyscy, myślała, tylko nie ona. Pod koniec wakacji czuła się zawsze, jakby była stąd. Na początku – że jest tylko gościem, obcym. „Niepilcem”. Moje to Murzasichle, myślała popijając Nałęczowiankę, i nie moje.

Złapała busa na Zakopane. Bus był w swojej zasadniczej części nadwoziem Forda Transita, rozwijanym przez pokolenia lokalnych spawaczy pasjonatów w konstrukcję o nieskończonej pojemności. W środku kilkanaście osób od stóp do głów odzianych w polary, koszulki, górskie buty i inne akcesoria marki Quechua, obdarzyło pobłażliwym spojrzeniem jej harcerski plecak.

– Pan jedzie tak, żeby było blisko do szlaku przez Suchą Wodę? – zapytała nieśmiało kierowcę, starego smagłego górala, starając się ignorować drwiące spojrzenia pozostałych turystów. Wyobrażała sobie, że wytykają ją teraz kijkami do nordic walkingu. W studenckich czasach znała Tatry na pamięć. Teraz nie umiała sobie przypomnieć, czy szlak zaczynał się przed skrzyżowaniem szosy na Łysą Polanę z drogą do Murzasichla, czy już za. Kierowca skinął głową bez słowa.

– Bo wie pan – usprawiedliwiła się – dawno tu nie byłam.

– Pani – busiarz się uśmiechnął. – U nos sie nie zmieniło.

Szlak przez Dolinę Suchej Wody uchodził za jeden z najnudniejszych. Siedem kilometrów długości, prawie trzy godziny spaceru przez las. Ance to odpowiadało. Rzadko spotykało się tu ludzi, o co w polskich Tatrach niełatwo. A ludzi miała ostatnio wyjątkowo dosyć.

Było cicho. Pachniało czystą wodą i świerkiem. Za drewnianym mostem nad Suchą Wodą przysiadła na kamieniu. Żeby trochę posłuchać potoku i żeby wypić piwo, które przezornie zabrała ze sobą. Już po chwili marszu zaczęła sobie zadawać rytualne pytanie: po co ludzie w ogóle to robią? Po co chodzą w góry, męczą się, kaleczą stopy, nadwreżają stawy, rozdymają płuca, wyginają grzbiety, skoro można by leżeć z książką na leżaku i patrzeć na góry z oddali. W imię czego? Co ze mną? To przecież jedna z najłżejszych tras w Tatrach! – zdenerwowała się.

Wyjęła z kieszeni rozmiętego batonika. Nie, nie da się zwieść zmęczeniu. Przecież na końcu tej trasy jest Hala Gąsienicowa z oszałamiającym widokiem na Orlą Perć, herbata w Murowańcu i powrót Skupniów Uplazem. Więc, kobieto, weź się w garść. Dla tego widoku warto się pomęczyć. Anka zaczęła się uśmiechać. Złapała rytm i pruła do przodu, wyobrażając sobie, że na końcu trasy czeka nie Murowaniec, lecz habilitacja. A wieczorem, jak już weźmie prysznic, rozłoży się na tarasie z książką, popełni na fejsie jakiś irytujący wpis w stylu: „Widok na Tatry, schłodzone piwo i święty spokój – bezcenne”.

No właśnie, piwo... Jeszcze przed Psią Trawką dotarło do niej, że już dłużej nie wytrzyma. Że nałęczowianka i pół litra tyskiego to za dużo jak na jej możliwości. Anka rozejrzała się i skręciła w las. Dolina Suchej Wody rozścielała się w tym miejscu szeroko, gęstym reglem i obfitymi chaszczami, co dawało jej niejakię szansę na dyskrecję. Obejrzała się. Brukowaną otoczkami ścieżkę wciąż było widać. Ruszyła w las jeszcze głębiej. Szum strumienia stawał się coraz wyraźniejszy i Anka zaczęła układać sobie w głowie, co powie strażnikowi Tatrzańskiego Parku Narodowego, który niechybnie przyłapie ją zaraz na zejściu ze szlaku. Potem wyobraziła sobie stado mrówek, jak obłażą jej stopy i pną się po nogach. I przypomniało jej się, że nawet nie ma w plecaku chusteczek higienicznych. Ma tylko bezużyteczny w tej sytuacji papierek od batona, poza tym to przecież park narodowy – nie zostawi tego papierka, ale też go nie weźmie ze sobą. Matko naturo, dlaczego tak pokomplikowałaś sprawę? – jęknęła w duchu, brnąc przez chaszczę. Znalazła się prawie nad samym brzegiem Suchej Wody. Chaszczę się tu kończyły, a zaczynało się urwisko, najwyraźniej niedawno podmyte przez wezbraną wodę, co sugerował ciemny kolor odsłoniętej ziemi. Potok szalał na kamieniach, rozbijając się na miriady kropel, rześką mgiełkę. Anka popatrzyła w dół urwiska, ku strumieniowi. Raptem wiatr zmienił kierunek. Anka zmarszczyła nos i rozejrzała się niepewnie. Odór. Słodki, mdlący, unoszący włoski na przedramionach, budzący grozę w najgłębszych splotach rdzenia kręgowego dziedziczonych po pramajpie.

Zastaniając usta i nos dłonią, postąpiła kilka kroków do przodu. Krawędź osuwiska była świeżo rozgrzebana. Ział w niej dół. Szum potoku zagłuszyło buczenie much. W dole widniały mięsne strzępy. Gnijące, rozwleczone, poszarpane. Smród oblepiał, wdzierał się każdym porę skórą, atakował wszystkie zmysły tak, żeby już nigdy nie dało się go zapomnieć. A do zszokowanych zmysłów zaczynało powoli docierać, że strzępy, które widzą, układają się w całkiem logiczny kształt przedramienia, dłoni, nogi. I głowy. Z pomarszczoną twarzą o rozwartych, szczyrbatych i martwych ustach.

Zaczęła krzyczeć. Coraz głośniejszej, bezbronnejszej, mocniejszej – krzyczeć.

– A coż ja im poradzę? Powiedz im, że jakbyśmy znaleźli samą dupę odrąbaną, to też by musiał lekarz stwierdzić tej dupy zgon, jasne? Doktora w karetkę i dawać go tu!

Podkomisarz jedną ręką prowadził policyjnego land-rovera Freelandera po wertepach w górę Doliny Suchej Wody, drugą ścisnął komórkę. Wozem bujało wściekle. Technik na fotelu pasażera oburącz obejmował walizkę z zestawem kryminalistycznym. Na tylnym siedzeniu zieleniał wąsaty prokurator w dżinsowej kurtce, którego zabrali po drodze. Freelander zahamował gwałtownie przed zdezelowanym UAZ--em w policyjnych barwach, który tarasował drogę przez dolinę.

– O, cześć Młody – przywitał się z sierżantem, który wybiegł mu na spotkanie. Młody, czyli Maciek Maraszek, dzielnicowy z Murzasichla, był blady i szybko oddychał. Technik zatrzasnął bagażnik, z którego wyjął drugą, jeszcze większą walizkę. Prokurator chwiejnie wytoczył się z auta. – Ty przyjechałeś do zgłoszenia?

– Tak jest, i kolega – zachrypiał sierżant. – Zwłoki są.

– Przecież czuję. – Podkomisarz Andrzej Chowaniec uniósł lekko głowę w stronę, z której wiał wiatr, i zmarszczył nos.

– No i wyglądają też kiepsko – przytaknął sierżant. – Jakby...

– Dobra dobra, prowadź na miejsce, jeszcze się naopisujesz do protokołu. Idziesz, Wojtek?

– skinął na technika. Ten bez słowa dźwignął obie walizki. – Panie prokuratorze, pan też pozwoli.

Gęstwina kończyła się nad skarpą schodzącą do potoku. Odór zwłok wwierał się w nozdrza i zatoki. Chowaniec przytknął rękaw bluzy do nosa.

– Zabezpieczyliśmy miejsce znalezienia zwłok i wstępnie rozpytaliśmy osobę, która dokonała zgłoszenia – informował sierżant.

Nieopodal skraj skarpy był wyrwany, obnażając w tym miejscu rozgrzebaną ziemię. Wokół najbliższych czterech drzew rozciągnięto białoniebieską taśmę policyjną. Kilka metrów dalej stał drugi mundurowy z pustymi pagonami posterunkowego.

– Cozeście se tu, Młody, ogródek założyli? – Chowaniec aż przystanął. – Widziałeś to, Wojtek? Ogródek se założyli. Chłopakule! – wezwał posterunkowego. – Chyboj po taśmę i zabezpieczyć mi teren po dziesięć metrów w obie strony od zwłok i od potoku do drogi. I uważaj, gdzie depczesz. Dzwoniłeś do parku, żeby zamknęli szlak?

– Tak jest, od Psiej Trawki zamykają, do samych Brzezin.

– Dobra. Panie prokuratorze! – Odwrócił się. – Gdzie jest prokurator?

– Tam rzyga. – Technik skinął w kierunku zarośli.

– Zechce pan dokonać oględzin? – Chowaniec zanurkował w gęstwinę i nachylił się nad zgiętym w pół prokuratorem, który jedną ręką opierał się o świerk, a drugą trzymał się za obfity brzuch. Z wąsów kapały mu resztki wymiocin. – Możemy na pana poczekać. Gdyby tymczasem mógł pan jednak wymiotować z dala od miejsca zdarzenia...

– ...praszam. – Prokurator machnął ręką. – Panowie, wiecie, co robić.

– Okej, Wojtek! – zakrzyknął do kucającego nad wykrotem technika i ruszył w jego stronę. – Prokuratura rejonowa w Zakopanem właśnie powierzyła powiatowej komendzie przeprowadzenie czynności... o kruca!

Urwał, spoglądając do wykrotu. Technik wciągnął lateksowe rękawiczki i metodycznie rozkładał zestaw kryminalistyczny. Założył lampę błyskową na wysłużoną minolę. Ułożył na trawie obok dziury skalę i lakierowany kartonik z cyfrą jeden. Zrobił pierwsze zdjęcie zmasakrowanej sterty kawałków ludzkiego ciała, częściowo jeszcze ukrytej w ziemi, a częściowo rozwłóczonej po obszernym wykrocie.

– Rozkopany grób? – zapytał Chowaniec szeptem. Żołądek miał pod gardłem. Zdławił odruch wymiotny. Oddychał płytko przez mankiet rękawa.

– Tak mi to wygląda – odparł technik.

– Zwierzęta rozgrzebały?

– No – technik skinął głową i wskazał na oddzielone od reszty zwłok ramię leżące na wierzchu, w połowie obdarte z tkanek do kości. Te były prawie zmiażdżone. – Duże zwierzątko.

– Jaki czas zgonu?

– Na oko to z tydzień będzie, ale na oko – ocenił technik. – Po robaczkach sądząc i po rozkładzie gnilnym. Ale, o!, te ślady zębów na kości są świeże, zobacz. Czyli ktoś go tu z tydzień temu zakopał, a dziś rano coś go wykopało i jadło.

– Przyczyna śmierci?

Technik odwrócił głowę i spojrzał na policjanta.

– Jaja se chyba robisz. Ściągaj tu Kraków, Jędrak, potrzebne będzie laboratorium. Sam tu nie nawywijam wiele. I to lepiej szybko – dodał, wskazując palcem na niebo – bo zaraz nam wszystko odpłynie.

Chowaniec uniósł wzrok. Chmurzyło się. Na burzę. Podkomisarz zaklął. Wezwał sierżanta.

– Młody, wołaj zero-zero, niech tu dają oddział chłopaków, żeby przeszli tyralierą z dołu wzdłuż szlaku i szukali czegokolwiek, zanim się rozpada. Strzępy ciuchów, ślady opon albo butów. Padało tu przez ostatni tydzień?

– Tak, ze trzy razy.

– No to pewnie gówno znajdują, ale niech próbują, zwłoki same się tu przecież nie zakopały, nie? I niech ściągną lab z Krakowa, na sygnale. I zapytaj, co z tym lekarzem. Gdzie jest ta osoba, która dokonała zgłoszenia?

– U nas w aucie – odparł sierżant.

– Dobra, zaraz tam podejść.

– Jędrak! – zawołał technik znad skarpy. Policjant pobiegł do niego przez chaszczę.

– Patrz. Skarpa jest podmyta tak trzy metry w tę i w tę, i to świeżo, bo ziemia jeszcze nie obeschła – zaczął tłumaczyć. – Czyli jak ktoś denata, dajmy na to, że tydzień temu, tu zakopywał, to zrobił to jeszcze dobre dwa metry od krawędzi skarpy. Na moje oko potok w nocy podmył ziemię, odsłonił częściowo grób od strony skarpy, a duże zwierzątko poczuło mięso i rozgrzebało zwłoki. A teraz patrz. Widzisz to?

Pochylił się nad zwłokami i musnął zmasakrowane ramię.

– Przedramię po łokieć jest poszarpane i pogruchotane zębami i to są świeże ślady. Ale popatrz z drugiej strony, na miejsce rozczłonkowania.

Chowaniec ukucnął obok technika. Przyjrzał się miejscu, gdzie ramię zostało oddzielone od tułowia. Brzegi były stosunkowo gładkie. Ramię nie wyglądało na wyrwane ani odgryzione. I na pewno nie stało się to dzisiaj. Tak samo jak gładko oddzielona od szyi była głowa. I obie nogi w pachwinach i kolanach.

– Kruca fuks – mruknął. – Ucięte.

Anka siedziała skulona na tylnym siedzeniu policyjnego UAZ-a. Wiatr szarpał plandekę służącą za dach, niosąc od strony strumienia upiorny odór. Zawinięta była w złoty koc termoizolacyjny, którym okryli ją policjanci. Przyjechali naprawdę szybko po tym, jak w hysterii usiłowała przez łzy wykrzyknąć komuś, kto odebrał numer 112, gdzie jest i co znalazła. Popijała teraz wygazowaną colę małymi łykami i czekała, w odrętwieniu, prawie bez ruchu i bez myśli. Na zewnątrz ktoś dał się do radia.

– Psa! Mam tu ciało w kawałkach! Jak mam je pozbierać do kupy bez psa do zwłok? Z Krakowa? No to niech przysyłają psa z Krakowa! A możecie też poprosić TOPR, żeby pożyczili swojego?

Pomyślała, że jak się natychmiast do kogoś nie odezwie, jeśli jeszcze przez chwilę będzie sama, to zwariuje. Sięgnęła do kieszeni po telefon. Zawsze się śmiała ze smartfonów z aplikacją Facebooka, stuknęła się po głowie na widok ludzi, którzy z nich korzystali, uważała, że cierpią na komunikacyjną biegunkę. Teraz żałowała, że takiego nie ma. Przydałby się jej pozór ludzkiej uwagi. Miała tylko swoją zwykłą komórkę z interentem. „Temat do zbadania: skąd wziął się popularny mit, że na wakacjach ludzie dobrze się bawią” – napisała na Facebooku.

Chrupnęła klamka w drzwiach gazika. Anka aż krzyknęła i podskoczyła. Telefon wypadł jej z dłoni.

– Proszę się nie bać – powiedział sympatyczny facet w szarej bluzie z kapturem, z policyjną blachą na szyi. Podniósł jej telefon, po który usiłowała sięgnąć, z podłogi auta i popatrzył na nią karcąco. – Ale mam nadzieję, że nie powiadamiała pani nikogo o zajściu?

– Nie – odpowiedziała sennie. – Dzieliłam się tylko refleksją natury ogólnej.

– Podkomisarz Andrzej Chowaniec, komenda powiatowa policji w Zakopanem. Czy możemy chwilę porozmawiać?

Zamrugnęła oczami, jakby próbowała skupić na nim wzrok. Potem niebezpiecznie zadrżał jej podbródek.

– Jędrak? – jęknęła.

I rozbeczła się na dobre. Ostłupiały podkomisarz zerknął dyskretnie w przekazany mu przez sierżanta dowód osobisty tej kobiety. Rozdziawił usta i przyjrzał się jej. A potem, wbrew wszelkim okolicznościom, roześmiał się serdecznie.

– Anna Serafin! Ania z Krakowa!

To musiało być jakoś pod koniec lat osiemdziesiątych, jeszcze za poprzedniego ustroju, gdy mały Jędrzek od Chowańców przychodził do Kaleniców, którzy mieli telewizor, żeby razem z Anią z Krakowa oglądać teleranek i *Przygody psa Cywila*. I gdy ogłosiwszy, że jak dorośnie, też zostanie milicjantem, dostał od ojca siarczyste lanie. Obrażony i zbolały żalił się rudej Ani, że w takim razie zostanie zbójnikiem. Na szczęście historia rozwiązała problem: w miejsce psa Cywila przyszedł komisarz Rex, a Jędrzek mógł ostatecznie zostać stróżem prawa Trzeciej Rzeczypospolitej, choć starego Chowańca też jakoś to nie cieszyło.

Natomiast z Anką widzieli się ostatnio chyba jeszcze w czasach szkolnych. Ganiał za nią po polach i sadach, cierpliwie wóczył się za nią po wsi, z nadzieją, że może w końcu da się namówić chociaż na całowanie. Oczywiście nigdy nic z tego nie wyszło.

Teraz niezbornie prosił, żeby się uspokoiła. Obiecywał, że on się teraz wszystkim zajmie.

– Co – chlipnęła, przerywając mu – się tam stało?

– Jeszcze nie wiemy, wygląda na ofiarę dzikiego zwierzęcia, dużego, pewnie niedźwiedzia – wymamrotał. – Wytrzymaj tu jeszcze chwilę – dodał szybko. – Jak tylko będę miał wolnego człowieka, odwiezie cię na dół, dobrze?

Kiwnęła głową. Uśmiechnął się do niej. Nie pamiętał, żeby w dzieciństwie kiedykolwiek widział ją zapłakaną. Tłumaczył jej, że będzie musiał jeszcze spisać oficjalne zeznanie, ale na to będzie jeszcze czas, wpadnie do niej jutro, i żeby teraz poszła odpocząć, a najlepiej się napić. Mówił dużo, myśląc o tym, jakie zbiegi okoliczności chodzą po ludziach. I o tym, że wiele się nie zmieniła.